

## Przechodniu—powiedz Polsce

ZBIGNIEW  
MAREK  
JAKUBIK

SZTYWNY prostokątny kartonik: „Zarząd Powiatowy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Biłgoraju zawiadamia, że dnia 23 czerwca 1957 r. odbędą się uroczystości związane z uczczeniem Rocznicy bitwy pod Osuchami pow. Biłgoraj stoczonej przez Partyzantów z najeźdźcą hitlerowskim w czerwcu 1944 r.

Celem oddania hołdu naszym braciom-partyzantom poległym w walce, zapraszamy Ob. do wzięcia udziału w uroczystości...”

Lato 1944 r. Wojska radzieckie na Bugu. Na bezpośrednim zapleczu frontu kompleks lasów, w których koncentrują się partyzanckie oddziały radzieckie, AL, AK i BCh. Niemcy postanawiają oczyścić drogi przyszłego odwrotu. Trzy frontowe dywizje Wehrmachtu, formacje SS, kilka pułków policyjnych, 17-tysięczny korpus wojsk pomocni-

czych, czołgi, artyleria, samoloty — skierowane zostały do akcji mającej za zadanie zlikwidowanie wszystkich istniejących na terenach przyfrontowych aktywnych ośrodków Ruchu Oporu oraz wysiedlenie zamieszkałej na tych terenach ludności...

Zarówno oddziały radzieckie, aelowskie, jak oddziały akowskie i bechowskie, postanowiły nierówną walkę przyjąć, związać najdłuższe wszystkie siły nieprzyjacielskie, odciążyć front, skierować pierwsze uderzenie i całą wściekłość wroga na siebie, by ocalić mieszkańców okolicznych wsi i miasteczek. Mimo dziesięciokrotnej niemal przewagi Niemców zadania te partyzanci polscy wypełnili z honorem. Bez wahania ofiarowali swą krew i swe życie Tej, co rozdziła się w huk frontowych dział...

...Maszerujemy trzeci dzień. W czwartek 22 czerwca po południu wyruszamy

z obozu koło Trzepietniaka — miejsca pośpiesznej koncentracji najbliższych oddziałów. Naszą 600-osobową grupą dowodzi major Kalina, Adam oraz Grom z częścią oddziału zostali po drugiej stronie...

...Od trzech dni prześladowuje nas bez przerwy nekający ogień niemieckiej artylerii. Wczoraj wylamały się z okrajania oddziały radzieckie. Gdy przygotowywały się do szturmu, my nawiązywałyśmy pierwszy bezpośredni kontakt bojowy z nieprzyjacielem. Wczoraj rzuciliśmy również tabory. Dziś, po nieudanej próbie „zamelinowania” się na bagnach, przygotowujemy się do szturmu.

Po północy, pod huraganowym ogniem ryglujących pozycji niemieckich przeszliśmy Sopot na wysokość Osuch. Szeroki atak na umocnienia nieprzyjacielskie na niektórych odcinkach załamał się już na przedpolu.

Grupa por. Wira po zlikwidowaniu gniazd niemieckich kaemów, otworzyła sobie wolne przejście...

...Po sforsowaniu pierwszej linii obrony niemieckiej zapadamy z Kosem na skraju osuchowskiego lasu. Gdy po krótkim odpoczynku podrywam się z płytkiego wglębienia, seria niemieckiego elkaemu rzuca mnie na ziemię. Tą samą serią ranny został dwukrotnie Kos.

Tak, to właśnie Kos sprowadził wówczas chłopców... Na zaimprovizowanych noszach wynieśli mnie ze strąskanym biodrem i poszarpanymi jelitami z bezpośredniego ognia.

Kilkuosobowy oddział pod dowództwem Florka ostrzeliwując się nieustannie z trudem przebił się przez pozycje niemieckie. Rankiem wyszliśmy na osuchowska „plaszczynę”. Za nami Niemcy, przed nami pięciokilometrowe bagno. Błoto po kostki, po łydki, po cholewy...

Po kilkugodzinnym morderczym marszu osiągnęliśmy przeciwny kraniec „plaszczyny”. Ułożyli mnie na brzegu lasu...

Muszą mnie zostawić. Jedyna szansa, to przebiec się patrolu do najbliższej wsi i zorganizowanie transportu oraz pomocy lekarskiej. Przedemną pięć nieprzeżytych jeszcze dni oczekiwania na Niemców i na śmierć, pięć długich dni walki z bólem i z samotnością... To było trzynaście lat temu...

GDY wysiadam z „Warszawy” na osuchowskiej szosie, przeszłość staje się nagle tętniącą życiem teraźniejszością.

Z trudem przebijam się przez gesty tłum do wrót partyzanckiego cmentarza, gdzie odprawia się nabożeństwo żałobne.

Na cmentarzu kryjącym w zbiorowych grobach kilkuset bezimiennych żołnierzy, grupka osób skupiona przy ołtarzu połowym. Witają mnie smutne, znajome, twarze. Twarze widziane przez łzy...

Trzydziestoletni dziś Kos szepce: — Florek chciałby się z tobą przywitać. Odwracam głowę. Postarzały o trzynaście lat, przedwcześnie osiwiały i przyciemniony Florek nachyla się nade mną — jak wówczas...

— Nie gniewaj się, Mareczku, że muśieliśmy cię wtedy zostawić... Co można na to odpowiedzieć?

Pierwszy od lat trzynastu oficjalny apel poległych, pierwsza od lat trzynastu salwa honorowa oddana przez oddział odrodzonego Wojska Polskiego, pierwsze oficjalne wypowiedzi, przedstawiciele partii i ZBoWiD-u oddające elementarną sprawiedliwość ośm tym, którzy nie tylko zginęli za najświętszą sprawę wolności i niepodległości, lecz przez trzynaście bolesnie długich lat zepchnięci byli na samo dno niepamięci — nie usuną przedwczesnej siwizny ze skroni Florka, ani bolesnych bruzd z twarzy Groma, nie przywrócą również uśmiechu żonie Kaliny, któremu nie palmy Florydy szumią, lecz rodzime osuchowskie sosny...

Nie o to zresztą chodzi... Przeszłość, chociażby najbardziej bolesna, jest tylko przeszłością.

I nie o apel chodzi, ani o salwę honorową. Salw honorowych mieliśmy pod dostatkiem przez trzynaście lat. Apelów żałobnych również. Chodzi o rzecz zwykłą i najbardziej normalną: o zwykły, skromny pomnik — wyraz pamięci o tych, którzy ginąc ginęli za nas, którzy żyjemy, o zabezpieczenie losu ich najbliższych, a przede wszystkim o wytrzebiecie zleg legendy i przywrócenie wszystkich praw prawdziwej historii, która — jak każda prawda — jest prawdą konstruktywną.

### KULTURA STRASZY WŚRÓD PUSTYCH KRZESEŁ

ZBIGNIEW  
STEPEK

Kultura...

W słowniku wyrazów obcych znajdujemy szereg definicji — i aktualnych („materialny i duchowy dorobek ludzkości” — sformułowanie bardzo ogólne), i przeżytych, tworzonych w epoce niesocjalistycznego i niehumanistycznego administrowania życiem („wyższy, historycznie stopień rozwoju kultury, jedyna naprawdę postępową kulturą: socjalistyczna w treści, narodowa w formie”).

Sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie poświęcona zagadnieniom kultury nie precyzowała tego pojęcia. Może to niedobrze.. może właśnie dlatego mówiono wiele nie na temat.

Jedynie profesor Halban próbował uściślić wypowiedź: „mówię o kulturze — więc o moralnej i obywatelskiej postawie człowieka”. To również nie jest definicja sensu stricto, wydaje się jednak, że na niej mogłyby wszelkie czynniki zajmujące się sprawami kultury z urzędu — oprócz swojej działalności. Bo przecież nie chodzi o to, by zespoły jak najwięcej tupaty i pośpiewywały. A może takie przekonanie panuje wśród

wielu działaczy i urzędników od kultury?...

To, co usłyszałem na sesji WRN — pobudziło moją pamięć. Odnalazłem Nr 1 — 2 „Kamień” z roku 1955, gdzie w artykule Konrada Bielskiego „Czarna mapa musi być czerwona” przeczytałem takie oto zdanie:

„Nowopowstałe świetlice i biblioteki, pozbawione należytej pieczy, wyrzucone poza orbitę zainteresowań, zaczęły poważnie chromać i w wielu wypadkach nie tylko nie spełniły swego zadania, ale wręcz przeciwnie, stały się ośrodkiem antypropagandy kulturalnej. W Wydziale Kultury sporządzono ostatnio mapę województwa, na której dobrze pracujące świetlice oznaczono krążkiem czerwonym, średnio-różowym, a źle — czarnym. Mapa, niestety, okazała się czarna”.

Postulaty artykułu: przede wszystkim otoczyć opieką świetlice i biblioteki wiejskie — niestety, aktualne są jeszcze dziś. To może dobrze świadczyć o autorze artykułu, ale o kierownikach kultury i działaczach?...

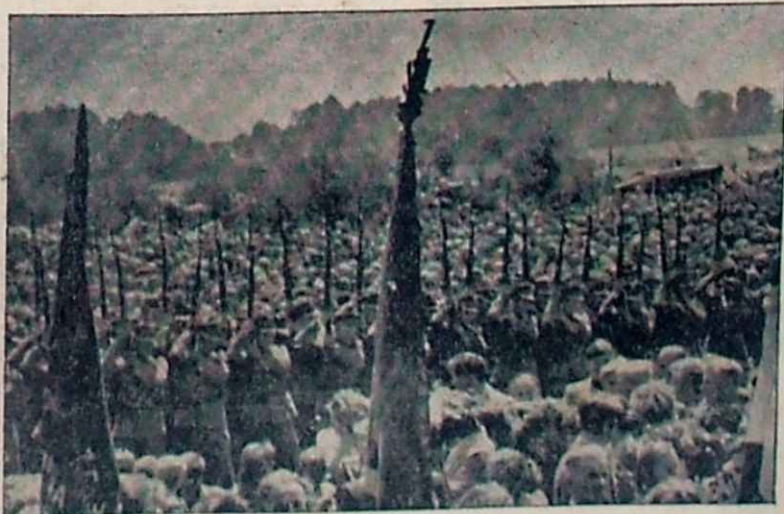
Nie myślę pisać sprawozdania z sesji kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej. Uczyniła to prasa, radio. Chcę zatrzymać się tylko przy niektórych problemach.

Widzę jedną zbieżność obrad z artykułem zamieszczonym w „Kamieniu” przed dwoma laty: w dyskusji często mówiono o konieczności ścisłego związku kultury z oświatą, o włączeniu do prac nauczycielstwa. Oto fragmenty referatu przewodniczącego Mariana Wójcika:

...powiązać jak najbardziej pracę oświatową z pracą artystyczną — pracę świetlicy z biblioteką.

...do pracy kulturalno oświatowej angażować ludzi mających odpowiednie wykształcenie i kwalifikacje, a przede wszystkim zamilowanie. Rehabilitować starych działaczy kulturalno — oświatowych odsuniętych w

(Dokończenie na str. 2)





CZESŁAW DOBEK

## LUBLIN I JA

Nie spierajmy się już dłużej,

spokojnie się obliczmy,

spiszmy nasze pretensje pozycja po pozycji —  
piórem wydartym burzy,

wodą z wiosennych rynien —

po prawej „ma” — dla ciebie,

po lewej dla mnie — „winien”.

Dla mnie —

w podwórka głębi dziewczynki drobne, chude,  
skacząc w ukośnych cieniach grają w czarnego luda;  
balkon nad oficyną — doniczki z pelargonią,  
dukanie fortepianu poprzez otwarte okno...

Dla mnie —

od Bramy Krakowskiej aż hen po Ogród Miejski  
ulica, szeroka ulica w zębatych ścianach kamienic —  
hotele, cukiernie, urzędy, sklepy pachnące przygodą  
i tajemnicą za murem ewangelickiego ogrodu:  
pierwsza wyprawa odkrywcza na pola poza koszary,  
wiatrem i słońcem, i wodą, i łąką wabiące węgry,  
Himalaje zakłute w wąwozach nad Czechówką,  
obladowana wyprawa na Rury na majówkę...

Dla mnie —

Targ za magistratem — kumoszki, Żydzi po kramach;  
Żmigród, Grodzka, Podwale, ciasne uliczki za Bramą,  
kogut złocisty z wieży, katedry półsenny półcień  
i diabeł, co z Trybunału na Szambelańską uciek'...

Dla mnie —

pierwsze upadki i wzloty, pierwsze przyjaźni i walki,  
pierwsze wyznanie wiary szeptane kasztanom w parku,  
księżyc nad placem Litewskim, słońce w alei Lipowej  
i pierwszy wiersz mój  
ze wstążką we włosach kasztanowych...

Dla mnie — wciąż dla mnie...

Dla ciebie?

Nic. Zapomnienie.

Skaliste lat barykady. Mosty nad pustą przestrzenią.  
Ślady zatarte na stepie, na morzach gorzkich i słonych.  
Czasem spojrzenie przez ramię, czasem sen — nieproszony.  
Czasem libańskiej brzozy zapach zatrzymał mnie w drodze,  
uśmiech dziewczynki skaczącej po Luksemburskim ogrodzie,  
cienisty ranek w Bagdadzie —  
na chwilę stanęło serce  
dla ciebie.

Mało?

Jak trudno śpiesząc się zdobyć na więcej.

I czyż to właśnie dla ciebie — to co wciąż muszę pamiętać,  
że tam na końcu Alei jest cmentarz?

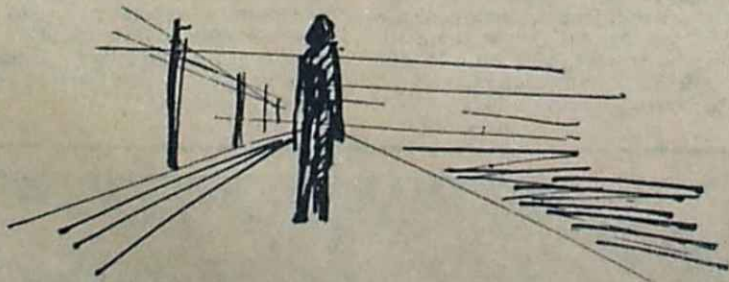
że to, co było radosne, dziecinne, słoneczne, młode,  
leży w lubelskiej ziemi w głębi jednego grobu?

Dziś, kiedy kwitną kasztany — nie dla mnie — w twoich alejach  
i serce me — nie dla ciebie — pod innym słońcem się śmieje,  
skończmy bolesne rachunki bilansem prostym i krótkim:

wybacz mi moje odejście —

ja ci wybaczę me smutki.

Glasgow, maj 1957 r.



Czesław Dobek, ur. 1909 r. w Zyrardowie, lata młodzieńcze spędził w Lublinie. Tu również ukończył szkołę średnią (dzisiejsze „Liceum Staszica”). Następnie kończył Podchorążówkę i studiował w Wyższej Szkole Dziennikarskiej w Warszawie. W tym czasie przygotowuje do wydania tomik wierszy pt. „Asfalt płynie”. Niestety wojna i tułaczka po obczyźnie nie pozwalają mu opublikować żadnej książki. Jedyne z tego względu jest u nas bardzo mało znanym pisarzem emigracyjnym. „Po Prostu” zamieściło jego wiersz pt. „Poranek” w kolumnie „Młodzi poeci emigracji” (Nr 49 (411) z XII 1956).

Czesław Dobek uprawia nie tylko poezję, ale i prozę. Ostatnio został laureatem nagrody powieściowej „Dziennika Polskiego”.

Obecnie autor przebywa w Anglii, w Glasgow, gdzie, jak zresztą olbrzymia większość emigracyjnych literatów, musi dorabiać pracą fizyczną. Zdobytą na obczyźnie zawód krawca zapewnia mu warunki materialne, lecz chyba nie bardzo sprzyja pracy literackiej. Nadstawy do redakcji „Kamień” wiersz zapowiada chyba niezadługo jego powrót do kraju.

J. W. Z.

## Kultura straszy

### wśród pustych krzesel

(Dokończenie ze str. 1)

ubiegłym okresie od pracy. Placówki kulturalno-oświatowe, powierzyć ludziom, którzy gwarantują pracę na należytych poziomach”.

A więc „nihil novi”. Świetlica i biblioteka. Matżeństwo oświaty z rozrywką.

Nie przypadkowo sprawa wiejskich świetlic zajęła najwięcej miejsca w referatach i dyskusji. Oznaczało to właściwe zrozumienie podnoszenia poziomu kultury narodowej — od podstaw. Truizmem dzisiaj stało się powtarzane do znudzenia przez kilka lat: „kultura jest nierozdzielnie złączona z warunkami ekonomicznymi”. Rozumiemy to. Niestety, jakże często zapominamy jeszcze, że człowiek kulturalny, poza zwiększonymi potrzebami — posiada większe zdolności produkcyjne. Człowiek kulturalny więcej rozumie. Łopatologia mogłaby tutaj dać ciekawą tabelkę korzyści: mniej bójk, mniej „chuligańskich wybryków”, mniej dzieci bez ojców, mniej kradzieży, mniej „braków”... Oczywiście ktoś zamierzony w statystyce mógłby wyliczyć, przyjmując wzrost kultury od 0 do 100, jak w miarę wznoszenia się krzywej kultury w kierunku 100, krzywa morderstw, kradzieży, pijaństwa itd. opadałaby do 0.

Opłacają się więc wydatki na kulturę.

Czy w sprawie tych dwu krzywych obradowała Sesja Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej?

W ogóle — jaki miała cel i czy zamierzony cel osiągnęła?

Wydaje mi się, że 1. nie sprecyzowano celu obrad; 2. konkretnie żadnego celu nie osiągnięto. A to dlatego, że... znudziliśmy się już zebraniemi, na których się narzeka. Przeżyliśmy po Październiku okres, kiedy mówiono: „wszystko było złe”. Jesteśmy w okresie: „było wiele zła, ale były i rzeczy dobre”.

Kiedy zacznie się okres: pracujemy według naszych możliwości, by iść naprzód, by tworzyć, wciąż tworzyć?

Jeden z dyskutantów powiedział, jak przed wojną organizacja komunistyczna poprzez pracę kulturalną uzyskiwała wyniki polityczne! Proszę mi pokazać ten zapal dzisiaj, proszę pokazać szlachetne założenia: pracuję „w kulturze” nie dla pieniędzy, nie dlatego, że dostałem nakaz pracy, że do innego „działu” się nie nadaję...

Dość krytyki. Czas do pracy. Jak mogą w konkretnej pracy kulturalnej pomóc urzędy?

Gdzieś u źródła kultury jest zawsze człowiek, który coś napisał, namalował itd. Nie trzeba tym twórcom kultury dyktować, co i jak mają robić — trzeba im po prostu pomóc w pracy, ułatwić ją, stworzyć odpowiednie warunki.

Tak już jest na świecie, że wszystko nowe rodzi się w walce. Kultura też. Mało „nowego” zobaczymy na wytyczonych, uczęszczanych autostradach. Trzeba często zboczyć z drogi, przerywać ścieżki wśród gęstwiny, trzeba przejąć się pasją odkrywczą. Urzędy, władze — winny pomóc wszelkim przejawom poszukiwania, bez przedwczesnych zastrzeżeń. Powinny pomóc przede wszystkim młodym. Jak to dobrze, że przynajmniej kilka głosów wspomniało o młodzieży, o potrzebie nagrody corocznej dla młodych — literatów i plastyków.

Kultura wiąże się z regionem, ze środowiskiem. Lublin nie przestanie być kulturalną prowincją, dopóki nie potrafi wytworzyć środowiska. Jakie warunki są do tego potrzebne? Ano, bardzo przyziemne: pomoc finansowa, mieszkaniowa... I bardziej „idealne”: wyrzeczenie się małych ambicji, pełna szczerłość wypowiedzi i postępowania.

Czy Radni zgadzają się z moją oceną Sesji? Czy zgadzają się z rozważaniami na jej marginesie?

Wiele krzesel dla radnych podczas omawiania spraw kultury świeciło pustkami. Przewodniczący Komisji Kultury powiedział: dawniej w komisji spośród 15-tu członków zaledwie 4-ch miało coś do powiedzenia na temat kultury...

Sesja trwała niedługo. Nie wszyscy mogli się wypowiedzieć. Ale nie można przecież do Sesji, która dotychczas odbywa się „raz na 13 lat”, ograniczyć dyskusji o kulturze. „Kamena” chętnie przyjmie wypowiedzi radnych i działaczy kulturalnych. Chodzi o to, by poprzez dyskusję dojść do czynu, który nasze miasto i województwo równouprawni pod względem kultury z innymi ośrodkami w kraju.

Definicje nie są najważniejsze — chodzi przede wszystkim o zrozumienie, jakie wartości społeczne, polityczne, jakie wartości życiowe kryje w sobie człowiek, którego możemy określić mianem — kulturalny.

Zbigniew Stepek

TADEUSZ  
CHRÓSCIELEWSKI

## Figura św. Sebastiana w Opolu

Na mrozie — a już rósł codziennie,  
Rozsadzał myśli i kamienie —  
Ciało wgnieciono w mur — chłopięce!  
Do tyłu wylamane ręce;  
Jaskółki na pół uniesione  
Brew chcą odrzucić i zdziwione,  
Ze chłód im skrzydła nagle spętał.  
Na piersiach ostre, rdzawe cętki.  
Strzelali z bliska. Czas ich naglił.  
Odeszli śpiesznie. Nie grzebali.

Co dzień — i o tym chcę ci donieść —  
Jakaś ślązaczka w czerni — dłonie  
Zeschle jak suchych grzybów wianek  
Splata i kłęczy bezustannie  
I szepcze dziwny wyraz:

synku!

Opole, 1956





## Akwarium

NASZE podwórze to akwarium. Nie ma w nim złotych ryb ani subtelných, egzotycznych wodorostów. Kiedy o siódmej rano syrena pobliskiej pralni, tak — właśnie pralni a nie wielkiego kombinatu — zaczyna nasz dzień, patrzę przez okno i widzę, jak faluje brudne powietrze. Akwarium zaczyna żyć. Potem, myjąc się w ciasnej kuchni, słyszę to życie. Rytmiczne uderzenia. To ci z parteru omotali trzepak — gładki brązowy wodorost na środku podwórza — podniszczonymi dywanikami i poduszkami w wypłowiałej czerwieni. Teraz trzepią.

Z komina chałupy wbudowanej w podwórze, wepchniętej pod skrzydła naszej kamienicy, dolatuje kwaśny, zjadliwy zapach dymu. Dlaczego ta kobieta pali mokre gałęzie? Pewnie znowu nie bardzo z ostatnią ratą węgla.

Mimo woli wciągam ten zapach i zaraz myślę, że przecież w akwarium — nie pali się mokrych gałęzi. Ale to nic nie szkodzi. Nasze podwórze nie ustępuje łatwo prawom logiki. Bo teraz właśnie dozorczyńni — popielata meduza, krzyczy coś piskliwym głosem. Banieczki słów unoszą się w górę i pękają tuż koło mojego okna. „Ja pani” — następne banieczki wędrują trochę wolniej. „Ja pani pokażę!” — Teraz znowu przerwa. „Już pani mówiłam, żeby nie wyrzucać wróblom jedzenia na podwórze!” Na podwórze? Przecież to jest ciasne akwarium, w którym pływa majestatycznie dozorczyńni, najtłustsza, najgroźniejsza meduza. I skąd tutaj wróble? A ona jednak bulgocze monotonna te same słowa i doskonale ją rozumiem.

Powietrze w akwarium jest coraz ciemniejsze. Z komina pralni wędrują płatki sadzy. Za chwilę wybiegną dzieci z parteru i pierwszego piętra. Metalowymi łopatkami do piasku zaczną uderzać w skały, które rosną w naszym akwarium — szare zbiorniki na śmiecie. Nic nie stłumi tego hałasu. Potem dzieci się znużą. Jak małe czarniawe rybki będą krążyły po akwarium, trącąc pyszczkami mur i okna chałupy wbudowanej w podwórze.

Lubię małe zamyslane ryby, które zatrzymują się pośrodku nieruchomej wody i ledwie poruszają płetwami. Nikt na nie nie krzyczy. A w naszym akwarium zaraz będą pękały banieczki słów, bo zamyslane dzieci-ryby stojąc zastonią okna sutereny. A i tak akwarium nie jest słoneczne.

Muszę już iść do pracy. Ale zanim wyjdę, popatrzę jeszcze z góry na falujące powietrze, zapisane znaczkami sadzy. Kiedy mój synek trochę podrośnie — będzie tak samo pływał w akwarium, poruszając różowymi płetwami, trącąc pyszczkiem zbiorniki — kamienie. I zamysli się zabawnie łapiąc powietrze. Wtedy właśnie stanie się małym nieruchomym cieniem, który zasłania światło w suterenie. Banieczki słów popłyną aż do mojego okna.

Popatrz, popatrz — a ja myślałam, że będzie zupełnie inaczej.

## Zegar z barwinku

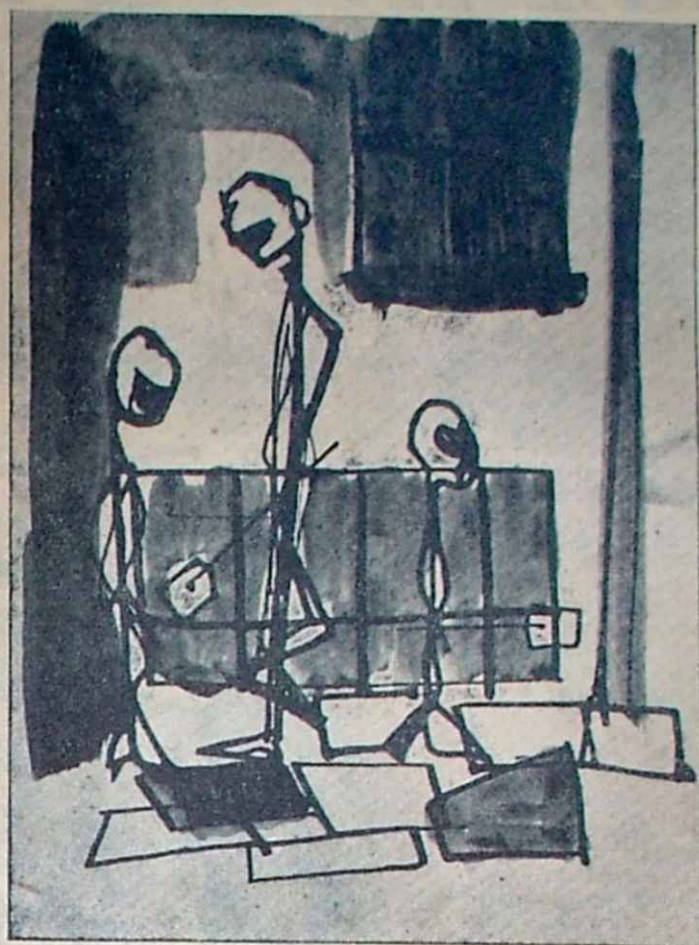
CZŁOWIEK Wyrzucony ze Sztuki przychodzi tutaj codziennie. Idzie długą, szeroką aleją, która opasuje cały park. Potem skręca zabawnie, prawie pod kątem prostym i wchodzi w skromny labirynt ścieżek, prowadzących do klombu. Ten klomb nie jest zwyczajny. To wielki zielony zegar z barwinku.

Człowiek Wyrzucony ze Sztuki zawsze zbliża się do ławki stojącej najbliżej rzymskiej szóstki, u dołu tarczy zegara. Swoją ongiś baskijski beret umieszcza obok, formuje z niego starannie czarne gniazdko. Wkłada tam małe zawiniątko z jedzeniem. Potem patrzy wokół, czy nikt nie zwraca na niego uwagi. Wreszcie zsuwa trochę z nóg lakierowane kalosze, szczególnie dokuczliwe w gorący dzień — i nieruchomieje. Godziny gęste od upału — na zegarze z barwinku kurczą się, związają połyskliwe listki.

Kiedy Człowiek Wyrzucony ze Sztuki podnosi się z ławki — jest już późno. Staje przed rzymską szóstką i łagodnie prowadzi oczy w górę tarczy. Zatrzymuje je na zieleni godziny, którą surowo przecina cień wskazówki. Człowiek podnosi rękę i płochliwie gładzi przez chwilę metalową dewizkę w kieszonce staroświeckiej, sfatygowanej kamizelki. Odchodzi.

Jak to naprawdę jest? Może w późnej godzinie, wypisanej na zielonym zegarze z barwinku — jest mniej włóknistej trwogi przemijania? Tak to jakoś nazywają, „trwoga przemijania”, prawda? I on to czuje.

A może... może po prostu w kieszonce zniszczonej kamizelki, na metalowym łańcuszku — nie ma zegarka.



## Spotkanie

USMIECHNĘŁA się do mnie na ulicy. Z początku jej nie poznałam. Właściwie dlaczego? Ta sama śniada, trochę za pociągła twarz, wydatny nos, krótkie, starannie uczesane włosy. Wtedy mówiło się o niej — interesująca, jakaś taka... Właściwie trudno powiedzieć. Ale coś w niej jest. Teraz na pozór wszystko jak dawniej, każdy szczegół twarzy, zamaszysty chód. Tylko nie można już powiedzieć — interesująca. Patrzymy przez chwilę na siebie. Myślę, że przecież już siedem lat minęło od mojej matury. Uczyla nas śpiewu. Sama dawniej chciała być śpiewaczką. Nie wyszło. Ale miała bardzo ładny głos. Właściwie lubiliśmy ją, mimo że podobała się Kalińskiemu, którego uwielbiałyśmy chóralnie dwa razy w tygodniu, na trzeciej albo piątej lekcji.

A później był obóz w górach. Rozprażone płótno namiotu i siedemnastoletnie szepty. Wtedy wydawało mi się, że nie tylko razem z innymi, ale także wyłącznie dla siebie, osobno — Kocham Kalińskiego. Na razie przez uchylone płócienne drzwi obserwowałam nogi tych dwojga, kiedy spacerowali rytmicznie po ścieżce przed namiotami. Ona miała mocne, wyrobione od długich marszów łódki i sandały imitujące góralskie kierzpce. Licząc ich przemarsze — dotkliwie, gorąco zapragnęłam, żeby już, natychmiast miała dużo więcej niż swoje trzydzieści pięć lat. A to przecież było „aż” trzydzieści pięć...

Teraz stoimy naprzeciw siebie, przedłużone o groteskowe cienie na białym chodniku. Zaczynam wyrąbywać uświęcone tradycją słowa — „Pani profesor... tyle czasu... tak się cieszę... Czy pani profesor...”

Macha niezręcznie ręką. — „Nie trzeba. Po co te tytuły? Przecież nie jesteś już... Przecież pani nie jest...” — Zaplątała się w tę moją dorosłość i obcość. Zagaduję ciszą powiastką o sobie. Ze małżeństwu, magisterium, dziecko. I coś tam o pracy w dziennikarstwie.

Zbyt późno spostrzegam, że nie słucha. Przystaje mówić i wtedy ona wpada nagle i gorączkowo — „Czy wiesz, że Władek... że pan Kaliński... Chyba go pamiętasz? Uczył waszą klasę matematyki...” — Zapewniam, że tak, pamiętam. — „Czy wiesz, że już w pięćdziesiątym czwartym... że on... nie żyje” — Robi się jakoś chłodno a stoimy na gorących płytach chodnika, pod strażą naszych krótkich południowych cieni. — „Serce?” — Nie wiem dlaczego zdawało mi się, że to musi być serce. — „Nie, takie ciężkie powikłania. Coś z nerkami...” — Aha.

Nagle bierze mnie za przegub ręki. — „Wpadnij do mnie, koniecznie. Najlepiej jutro. Dawno nie widziałam żadnej z was. Porozmawiamy”. — Dziękuję jej i wypada to biado. Wiem, że nie pójdę. A może jednak tak... Nie jestem jeszcze wolna od magii słowa „wypada”.

Ale jeśli pójdę... Jeśli pójdę — wtedy pod rozprażonym dachem sublokatorskiego pokoiku — będzie mi mówiła o tamtym. Siedemnastoletnim płochliwym szeptem, przypominającym nasz szept w podtatrzańskich namiotach — będzie mówiła o człowieku, którego twarzy już dawno nie pamiętam. Będę musiała słuchać i patrzeć na nią. Na moją myśl sprzed siedmiu lat.



# Rozmowa na wystawie

**Bechczyc-Rudnicka:** Iniejując dzisiejszy trójgłos o wystawie lubelskich plastyków, wyobrażałam sobie z góry, że pan Królikowski będzie niejako jej komentatorem, pan Michalczuk wysunie pewne postulaty z pozycji buntu młodych, a ja wypowiem kilka myśli „pasażera bez bagażu”. Nic więcej nie mogłam przewidywać z jakim takim prawdopodobieństwem, bo prognoza „meteorologiczna” przy swobodnej wymianie zdań jest oczywistym absurdem... Jesteśmy w sali wystawowej, w samym sercu żywego obiektu dyskusji. Spotkanie dzisiejsze da sensowny rezultat, jeżeli po sumiennej konfrontacji waszej, panowie, wiedzy o sztuce i moich o niej mniemań — z tym, co mamy tu przed oczami, potrafimy zrozumieć siebie nawzajem o tyle, by czytelnik, który widział ekspozycję, mógł spojrzeć na nią w pamięci przez pryzmat naszych wspólnych wniosków czy też odrębnych zdań i zaakceptować z nich coś niecoś bądź założyć *voitum separatum*. Ale oto zaczynam właśnie bawić się w meteorologa... woluntarystę. A więc do rzeczy. Co jest pańską pierwszą troską, panie Stanisławie?

**Michalczuk:** Sądę, że przede wszystkim trzeba się zastanowić nad tym, jakie kierunki reprezentuje twórczość wystawiających plastyków.

**Królikowski:** Różne; w zasadzie dwa: nowoczesny i tradycyjny, można by go nazwać nawet konserwatywnym. Tak jak wśród społeczeństwa zazwyczaj ściera się dwa zasadnicze prądy, tak samo dzieje się rzecz jasna wśród artystów, z tym zastrzeżeniem, że widzowi łatwiej jest zmienić swoją postawę i stosunek do tego czy innego „prądu” artystycznego, dostosować się do wymagań chwili, aniżeli artyście, który kilkanaście czy kilkadziesiąt lat wypracowywał własną koncepcję i pogłębiał zasady swojej sztuki. Z drugiej strony postęp, czyli zmiana na lepsze, wzbogaca artystę, jego zasób wiedzy i doświadczeń. Są więc na wystawie obrazy najbardziej nowoczesnie malowane, jest grupa surrealistów, są prace o charakterze przejściowym i sporo prac nie nadających się do „typowania”.

**Bechczyc-Rudnicka:** Spór o nowoczesność jest bardzo stary. Dotychczas wysiłki zmierzające do jej określenia dały doprawdy nikłe wyniki. *Novum* dopiero kiełkuje. Co jest kwiatem, co chwastem — widzi się częściej retrospektywnie. Sądę, że każdy punkt wyjścia może być początkiem drogi do nowego. Świadczą o tym nawroty kierunków pozornie przebrzmiałych. Przykładem, który aż się prosi o przytoczenie, są kilkakrotnie nawiązywania do antycznego klasyzmu.

**Michalczuk:** Niewątpliwie należy się cieszyć, że wystawy związkowców nabierają posmaku nowoczesności. Zapewne składa się na to wiele czynników o zasięgu ogólnopolskim i lokalnym; wydaje mi się, że niemały wpływ na ten fakt wywarli też lubelscy młodzi plastycy. Zastanówmy się jednak, czy wystawione prace wnoszą coś do nowoczesności sztuki w sensie ogólnym (czy są twórcze), czy jedynie idą drogą innych artystów.

**Królikowski:** Pytanie ważne, niemal zasadnicze. W pierwszej chwili, w oparciu o moje doświadczenie, mam ochotę odpowiedzieć, że nie wnoszą nic nowego... trzeba jednak wziąć pod uwagę nasze warunki. W odniesieniu do większości obrazów należy powiedzieć: „wszystko to już było”, ledwie kilka zasługuje na uwagę z tytułu „nowoczesności sztuki”. Nowoczesność w sztuce lubelskich artystów w zasadzie nie wychodzi poza granice tego, co się już widziało; u Filipiaka daje się odczuwać renesans inwencji w zmysłowości i może to jest najbardziej ciekawe. W pracach Lukawskiego czy Pola nie ma ekspresji dynamiki własnej indywidualności, mimo że czuje się, szczególnie u Lukawskiego, siłę umiaru, harmonię, planową, mocną kompozycję — rysunkową i kolorystyczną. Lukawski poszedł sobie swoją drogą, Filipiak swoją, Pol swoją, tak jak swoją drogą kroczy Zenon Kononowicz.

**Bechczyc-Rudnicka:** Powiedział wielki strateg, że każdy żołnierz powinien nosić w swoim tornistrze buławę marszałkowską. Widz pragnąłby zastosować tę metaforę do wszystkich plastyków lubelskich, nie ma jednak prawa wymagać, by wszyscy naraz stali się „marszałkami”. Dobrze się już dzieje, jeśli poszczególne artyści mają wartościowe osiągnięcia, nowe w ich skali indywidualnej... Niewątpliwie obecna ekspozycja różni się znacznie od poprzednich wystaw lubelskiego okręgu

W dniu 27 czerwca, celem omówienia Wiosennej Wystawy Lubelskiego Okręgu ZPAP spotkały się w jej sali trzy osoby: przedstawicielka redakcji „Kamery”, Maria Bechczyc-Rudnicka, członek Związku Plastyków, Jeremi Królikowski i młody artysta-plastyk z grupy „Zamek”, Stanisław Michalczuk. Podajemy w skrócie ich wypowiedzi.

związku, tylko kwestia — czy istotnie in plus?

**Michalczuk:** Co zdaniem pana zdecydowało o innym charakterze obecnej wystawy w porównaniu z wystawami poprzednimi.

**Królikowski:** Pytanie raczej retoryczne. Pan przecież wie, że o zmianie charakteru obecnej wystawy

dząc tak daleko od własnego stylu. Podkreślam: wydaje mi się, bo artysta sam wie najlepiej, czy to jest twórczy odskok, czy jałowy wyskok, kpina z *connaissanceurów* bądź koncesja na rzecz „opinii publicznej” narzucającej schematy nowinkarskie z despotyzmem niewiele mniejszym od tyranii, z jaką socrealizm narzucał swoje gro-



Władysław Filipiak — Kompozycja — olej

zadecydowała wolność wypowiedziania się w sztuce. Szukanie nowych dróg, eksperyment, tendencja naturalna do postępu — znalazły tutaj pełny wyraz. Ważne jest również zapoznanie się z twórczością innych narodów, wycieczki, kontakty, mam na myśli ostatni wyjazd do Holandii, Filipiaka i Lukawskiego.

**Michalczuk:** Czy wystawa jest przeglądem pracy wszystkich czynnych członków związku?

**Królikowski:** Tak, i to za ostatni okres. Jury ustaliło tę zasadę i z nielicznymi wyjątkami surowo ją zastosowało. Chociaż ze względu na poziom należało nie „przepuścić” co najmniej dwudziestu paru eksponatów, które nie tylko nie wnoszą nic nowego, ale obniżają poziom wystawy.

**Bechczyc-Rudnicka:** Zabrakło tym razem prac Walezyńskiego, który interesuje dość wybrednych odbiorców... no ale nie odchylajmy się od magistrali dyskusji.

**Michalczuk:** Którzy z wystawiających artystów kontynuują, pańskim zdaniem, własną drogę twórczą?

**Królikowski:** Lucjan Pakulski, następnie Lukawski i Filipiak, z tym jednak zastrzeżeniem, że pierwszy staje się monotony, drugi dopiero odnajduje swoją drogę... Co do Filipiaka, jego ostatnie osiągnięcia potwierdzają moje pierwsze wrażenie, że nowoczesność tylko wzbogaca jego talent, a nie spycha na manowce, jak to błędnie wywnioskował pan w swojej notatce, którą wydrukował „Sztandar Ludu”.

**Bechczyc-Rudnicka:** We mnie Kompozycje II i III Filipiaka budzą dziwny sprzeciw. Wydaje mi się, że ten malarz, którego obrazy wymieniałyśmy stale w połączeniu z pochlebnymi przypomnieniami, zadał sobie gwałt odcho-

teskowe przykazania. Tak czy inaczej, wystrzegajmy się pochopnych sądów. Kiedy — bodaj rok temu — Lukawski wystawił po raz pierwszy obraz niekonformistyczny, jeden z jego kolegów powiedział z uśmiechem: „picassuje!” A dziś, któż zarzuci Lukawskiemu, że zabłąkał się na cudzej drodze? Ale naturalnie można też mnożyć wartości dochowując wiary swojej osobistej tradycji w obranym przez siebie kierunku, — jak to robi Pakulski. Podoba mi się szczególnie jego „Klub”.

**Michalczuk:** Dlaczego?

**Bechczyc-Rudnicka:** Powiedziałam „podoła mi się”, takie oświadczenie nie wymaga uzasadnień. U laików jest to często kwestia procesów podświadomych... Natomiast „Sumienie” Pakulskiego ktoś mógłby uważać za „przegadane”, działające na widza bardziej koncepcją tematyczną niż środkami malarskimi (bo że ten obraz działa na wyobraźnię — to nie ulega dla mnie wątpliwości).

**Michalczuk:** Wydaje mi się, że zapomnieli państwo o Zenonie Kononowiczu, a przecież on może bardziej niż kto inny jest wierny swojej indywidualnej malarskiej formie, która szczególnie w pejzażach jest coraz pełniejsza w swej doskonałości. Zdziwiłem się, kiedy powiedziano mi, że to, co napisałem o nim we wspomnianej przez pana notatce w „Sztandarze Ludu” — jest zignorowaniem tego malarza. Pisząc tam: „Z. Kononowicz najlepiej czuje się na Rynku Kazimierza” — miałem przed oczami jego „Targ w Kazimierzu” wystawiony parę lat temu i obecnie pokazany „Pejzaż”, który jest niewątpliwie kontynuacją tamtego tematu, będąc utworem wysokiej klasy... A propos sumienia: czy twórczość wystawiających

plastyków wypływa z ich własnych sumień i konieczności?

**Królikowski:** Według wszelkiego prawdopodobieństwa — tak, bo gdyby ona nie wypływała z własnego sumienia, ale z cudzego, gdyby nie z własnej, ale z cudzej konieczności, wtedy nie mogłoby być mowy o twórczości artystycznej, tylko o mniej lub więcej zręcznie maskowanym naśladownictwie.

**Bechczyc-Rudnicka:** No, to są prawdy dawno zaakceptowane, lecz w praktyce bywa niekiedy inaczej, zwłaszcza w okresach przełomowych, kiedy nowe prądy forsują swoje konwencje wytwarzając nową modę. Dlatego zapewnienie we wstępie do katalogu wystawy, że „otrzymaliśmy prace malowane szczerze...”, uważałbym za nieco ryzykowne. Szczerze jest elementem psychicznym nie poddającym się łatwo kontroli, szczególnie w przypadkach dobrze opanowanego rzemiosła. Nawiasem mówiąc, wspomniany wstęp wymaga od czytelnika-widza fideistycznego stosunku do twierdzeń autora, bo nie operuje konkretnymi. Przepraszam za tę uwagę, ale to tylko pozornie rzecz marginesowa. Katalog, jak wiadomo, jest z jednej strony przewodnikiem po wystawie, z drugiej — dokumentem historycznym, obie funkcje są ważne!

**Michalczuk:** Mam wrażenie, że „casus” Filipiaka jest jakby w centrum naszej dyskusji. Proszę nam powiedzieć, co pan sądzi o ostatnich jego pracach.

**Królikowski:** Obrazy Filipiaka na tej wystawie świadczą o nieco innej ewolucji jego sztuki. „Martwa natura” nie wiąże się z resztą wystawionych jego prac. Natomiast „Stare miasto” i „Zagłówek” potwierdzają niezmienne wysoki poziom twórczości. „Stare miasto”, zwarte kompozycyjnie, jest bogate kolorami pergaminowych średniowiecznych miniatur i inicjałów, a starszytchowe ujęcie rysunku nadaje całości charakter praeciosum i antyku. „Zagłówek” zaciekawiają użyciem czarnych plam jako głębi. Skrzydła jachtów podkreślają onomatopeistyczne wrażenie szumu i ruchu. Kompozycje II i III, słabsze pod względem malarskim, są interesujące ze względu na intensywność inwencji w zmysłowości. Ostatnie prace Filipiaka nie świadczą o „usilowaniu zerwania z dotychczasowym postimpresjonistycznym sposobem malowania”, ani że „Filipiak tkwi wyraźnie na rozdrożu”; ja bym powiedział wręcz przeciwnie: Filipiak coś myśli, coś robi, a że to się nie podoba — to jest już inna sprawa. Tak samo Filipiak nikogo nie „rozgina na siłę”, kto wie, o co chodzi, ten się domyśli, że nie ma żadnej przyjemności w tworzeniu takiej sztuki. Jeżeli ma się talent, to rozginać go trzeba delikatnie, umiejętnie. Na rezultaty nie czeka się długo.

**Bechczyc-Rudnicka:** Pan mówi nieco enigmatycznie, ale oczywiście „kto wie, ten się domyśli” — rzeczy niedopowiedzianych.

**Michalczuk:** Niedawno rozmawiałem z Filipiakiem — mówił, że raczej przypadek zadecydował o takim doborze jego wystawionych prac. Straciły na tym „Kompozycje”, wyrwane z dużego cyklu, jaki powstał w ostatnich miesiącach, i powieszone obok prac bardziej formalnie wypróbowanych i związanych z dawniej ustalonym sposobem malowania. Moim zdaniem, „Stare miasto” (które w toku moich odwiedzin wystawy coraz bardziej mi się podobało, jest najciekawszą z pokazanych prac, ze względu na odrealnienie tematu przedstawionego w dojrzałej, mocnej formie. Wiązanie tej pracy ze starszytchowym ujęciem rysunku i barwami średniowiecznych miniatur uważałbym za zbyteczne.

**Bechczyc-Rudnicka:** Wydaje mi się, że można już zamknąć dyskusję nad „sprawą” Filipiaka. *The rest is silence* — powiedziałabym robiąc niegodziwy użytek ze słów Szekspira... Przenieśmy kwestię zagadek twórczości na bardziej generalną płaszczyznę, bo pragnę jeszcze zwrócić uwagę na upokarzającą rozterkę widza, którą przeżywa stykając się co krok z „nazwą” *Kompozycja*. Wszakże każda praca malarska jest jakąś kompozycją barw i kształtów. Jeżeli w pracy nie ma nic poza ich malarskim zestawieniem, wystarczy numer, ten użytkowy znak mnemoniczny (skoro takie malarstwo ograniczyło się do roli dekoracyjnego). Lecz z chwilą gdy elementy malarskie służą do wyrażenia



Państwo Serbois kończyli obiad, siedząc posepnie jedno naprzeciw drugiego.

Pani Serbois, różowitka blondynka o niebieskich oczach i miękkich ruchach, jadła z wolna, nie podnosząc głowy, jakby ją nękał jakiś uparty smutek.

Serbois, duży, tęgi, o twarzy okolonej faworytami, wyglądający na pastora lub agenta handlowego, wyglądał się niespokojny i czymś przejęty.

Nareszcie powiedział jakby sam do siebie:  
— Dziwne doprawdy!

— Co takiego, mój drogi? — zapytała żona.  
— Ze Vaudrec nic nam nie zapisał!

Pani Serbois zarumieniła się; zarumieniła się gwałtownie, jakby różowa zasłona okryła nagle jej szyję i twarz, i powiedziała:

— Może u notariusza jest testament. Nic jeszcze nie wiadomo.

W rzeczy samej zdawało się, że już coś wie. Serbois zastanowił się:

— Tak, to bardzo możliwe. Ostatecznie był naszym najlepszym przyjacielem. Siedział tu ciągle, był co dzień na obiedzie. Wiem, że dawał ci sporo prezentów i że to był swego rodzaju rewanż za gościnność. Ale gdy się ma takich przyjaciół jak my, pamięta się o nich w testamentach. Ja, gdybym się czuł chory, na pewno bym mu coś zapisał, mimo że ty jesteś moją naturalną spadkobierczynią.

Pani Serbois spuściła oczy. A gdy mąż mordował się z kurczakiem, otarła nos, tak jak ociera się go płacząc.

Pani Serbois ciągnął dalej:

— Bardzo możliwe, że u notariusza jest testament i jakiś legacik dla nas. Nie chodzi mi o to, aby było dużo, byle mała pamiątka, dowód, że o nas myślał i że nas lubił.

Na to żona z wahaniem:

— Jeśli chcesz, możemy po obiedzie pójść do pana Lamaneur i dowiemy się co i jak.

— Owszem, jak najchętniej.

...

Gdy weszli do kancelarii pana Lamaneur, wśród urzędników zrobiło się małe poruszenie. Kiedy pan Serbois uznał za stosowne podać swe nazwisko — choć znano je tam doskonale — pierwszy dependent wstał z widoczną skwapliwością; młodszy uśmiechnął się.

Małżonków wprowadzono do gabinetu szefa.

Był to pulchny człowieczek, cały jakby utoczony. Głowa jego przypominała kulę, osadzoną na drugiej kuli, która z kolei spoczywała na dwu nóżkach tak małych, tak króciutkich, że i one wydawały się kuliste.

Pani Serbois przywitała ich ukłonem, wskazała krzesła i powiedział z dyskretnie porozumiewawczym spojrzaniem w kierunku pani Serbois:

— Właśnie miałem pisać do państwa z prośbą, abyście wstąpili do kancelarii. Chodzi o testament pana Vaudrec, który państwa dotyczy.

Pani Serbois nie wytrzymała: — Aha, wiedziałem, że tak będzie!

Notariusz dodał:

— Przeczytam państwu ten akt, zresztą bardzo krótki.

Wziął leżący przed nim papier i przeczytał:  
„Ja, niżej podpisany Paweł-Emil-Cyprian Vaudrec, zdrow na ciele i umyśle, wyrażam niniejszym moją ostatnią wolę.

W przewidywaniu śmierci, która może zabrać nas każdej chwili, uważam za stosowne spisać testament, który zostanie złożony u notariusza, pana Lamaneur.

Nie mając bezpośrednich spadkobierców zapisuję cały mój majątek w papierach giełdowych na sumę czterystu tysięcy franków oraz w nieruchomościach wartości sześciuset tysięcy franków — pani Klarze-

Hortensji Serbois bez żadnych obciążeń ani warunków. Proszę, by przyjęła ten dar zmarłego przyjaciela jako dowód głębokiego oddania i szacunku.

Podpisano: Vaudrec“.

Pani Serbois spuściła głowę i siedziała bez ruchu, gdy mąż toczył zdumionymi oczyma, przenosząc je z notariusza na żonę i z powrotem.

Pani Serbois powiedział po chwili milczenia:

— Rzecz jasna, proszę pana, że szanowna małżonka nie może przyjąć spadku bez pańskiej zgody.

Pani Serbois wstał: — Muszę się zastanowić.

Notariusz skłonił się z lekko ironicznym uśmiechem:

— Rozumiem pańskie skrupuły, drogi panie, ludzie bywają złośliwi. Czy będzie mi pan mógł dać odpowiedź jutro, o tej samej porze?

Pani Serbois skinął głową: — Tak, proszę pana, do jutra.

Skłonił się ceremonialnie, podał ramię żonie, która nie podnosząc oczu czerwieniła się jak piwonія, i wyszedł z miną tak dostojną, że aż powyraszał dependentów.

Gdy tylko znaleźli się w domu i drzwi się za nimi zamknęły, pan Serbois zapytał sucho:

— Byłaś kochanką Vaudreca?

Żona, która zdejmowała kapelusza, drgnęła i odwróciła się:

— Ja? Cóż znowu!..

— Tak, ty — nie zostawia się kobiecie całego majątku, jeśli nie...

Kobieta pobladała i ręce jej drżały, gdy wzięła wstążki kapelusza, by nie wlokły się po ziemi.

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

Po chwili zastanowienia powiedziała:  
— Daj spokój... co za pomysł... czyż sam nie mówiłeś... nie spodziewałeś się, że ci coś zapisze...?

— Tak, mógł zapisać, ale mnie, rozumiesz, mnie, a nie tobie!..

Zajrzała mu badawczo w oczy, dziwnie, głęboko, jakby pragnęła w nich coś znaleźć, jakby chciała odkryć tę nieznaną cząstkę jestestwa, której niepodobna przeniknąć i którą można zaledwo odgadnąć w króciutkich sekundach, w chwilach rozbrojenia, nieuwagi czy zapomnienia, co są jakby furtką uchyloną do tajemniczych głębi duszy. I powiedziała z wolna:

— Wydaje mi się, że tak znaczny zapis dla ciebie byłby co najmniej równie dziwny.

Zachnął się jak człowiek zaskoczony w swych rachubach.

— A to czemu?

Zaczęła: — Bo przecież... — odwróciła głowę jakby zakłopotana i zamilkła.

Mąż ją chodził wielkimi krokami. Wreszcie oświadczył:

— Nie możesz tego przyjąć!

Odpowiedziała obojętnie:

— Jak chcesz. W takim razie nie ma co czekać do jutra. Można już zaraz zawiadomić pana Lamaneur.

Serbois zatrzymał się przed nią i przez chwilę stał tak oko w oko, starając się wzajemnie przejrzeć, wybadać, przeniknąć, wysondować aż do samego dna myśli, w niemym a zaciętym starciu dwu istot, które zrywając obok siebie nigdy się nie znają, ale wciąż się podejrzewają wzajemnie, wężą, czatują.

Nagle rzucił jej w twarz szeptem:

— Przyznaj się, byłaś kochanką Vaudreca?

Kobieta wzruszyła ramionami:

— Co ci się ubrdało! Vaudrec kochał mnie — tak mi się zdaje — ale nigdy do niego nie należałam... nigdy!..

Tupnęła nogą.

— Kłamiesz, to niemożliwe.

— A jednak tak było — powiedziała spokojnie.

A mąż zaczął znowu chodzić, poczem znowu się zatrzymał:

— No to wytłumacz mi, czemu tobie zostawił cały majątek?

— To jasne. Jak sam niedawno mówiłeś, nie miał innych przyjaciół prócz nas, przebywał u nas tyleż co u siebie w domu, i w chwili gdy przyszło do pisania testamentu, musiał o nas pomyśleć. Potem przez galanterię napisał moje imię; odruchowo mu się napisało, tak jak odruchowo mnie dawał prezenty, a nie tobie — prawda? Miał zwyczaj przynosić mi kwiaty, a każdego piątego jakiś drobiazg, bo poznał się piątego czerwca. Wiesz przecież. Upominki daje się żonom, nie mężom; tak więc mnie a nie tobie ofiarował swój ostatni upominek, coś prostszego.

Była tak spokojna, tak naturalna, że Serbois zawałał się.

— Wszystko jedno, to wywarłoby fatalne wrażenie. Wszystkie myśleliby to samo. Nie możemy przyjąć.

— To nie przyjmujemy. Million wymknie się nam z kieszeni i tyle.

(Dokończenie na str. 6)

# Spadek

GUY DE MAUPASSANT

Przełożyła Anna Jakubiszyn

zalożeń przedmiotowych czy intelektualnych, potrzebna jest chyba — zwłaszcza w „trudnym malarstwie” — pomocnicza, konkretna nazwa, tj. lakoniczny komentarz, dzięki któremu założenie twórcy łatwiej mogłoby znaleźć oddźwięk w świadomości widza... Ten widz! Mówi się z nonszalancją w swoim środowisku: „Odi profanum vulgus”, a przecież pożąda się naprawę kontaktu z odbiorcą. Bo dla kogo to wszystko? Te wystawy? Dla kolegów-plastyków? Dla Sztuki? A Sztuka dla kogo, dla czego? Dla przyszłości? A przyszłość? Chyba dla ludzi, dla wielu ludzi... Ale ludzie potrzebują też teraźniejszości. — A Sztuka potrzebuje eksperymentu. Mój Boże, jakież to zatracony, stary impas! Może jednak jest wyjście, może jest? Konserwatyści będą malować według

przyswojonych kanonów i nikt im nie wytknie rutyniarstwa, a „przyszłościowcy” będą nadal pokazywać swoje wyniki laboratoryjne („wszystkie kwiaty”) i nikt ich nie pomówi o plagiat czy plagiat. I przyjdą nowi geniusze, prawdziwi geniusze, i publiczność dorosnie do rozumienia ich wielkości, i będzie dobrze, dobrze, dobrze... Ale na razie — proszę mi wybaczyć, że zeszląm zupełnie na manowce niefachowej gadaniny. Ratujcie, panowie, czym prędzej sytuację jakimś zawodowym konkretem.

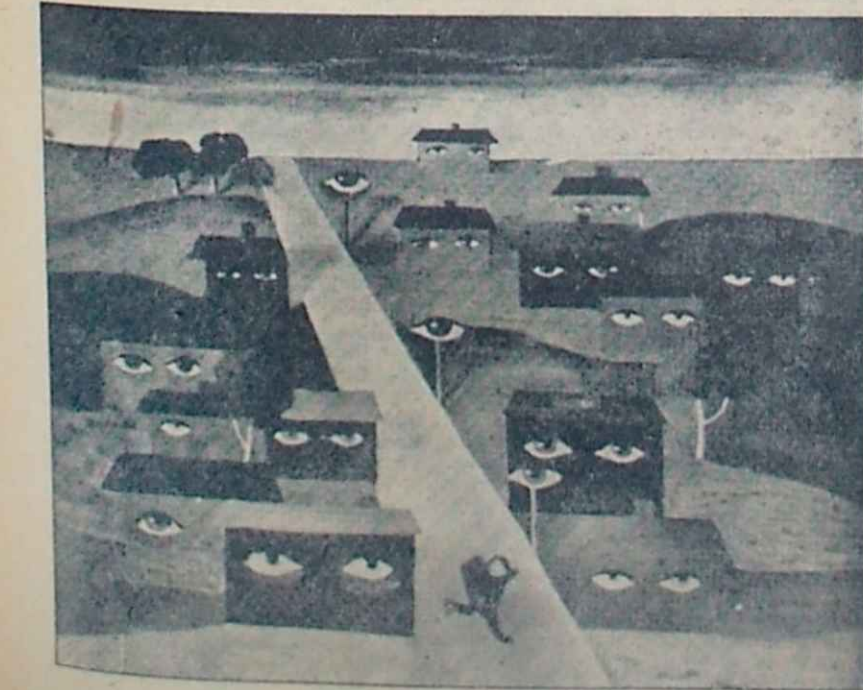
Michalczuk: Jest to niewątpliwie temat ciekawy i zasługuje na dyskusję. Znanie są długie, często zabawne komentarze Matejki do jego historycznych cyklów. Zapewne malarstwo oparte na założeniach przedstawieniowo-illustratorskich (malarstwo opowia-

wszystkim powiedzieć, co zbliża a co dzieli ich twórczość.

Królikowski: Zbliża sala CBWA i to, że wśród plastyków „związkowców” są tacy, którzy awansują do grupy nie-związkowców! Jedną wystawę do drugiej zbliża ilość prac, dzieli i to zdecydowanie — poziom. Nie ma chyba wątpliwości, podkreślił to m. in. Jacek Woźniakowski — że „młodzi” powinni zacząć od uczenia się rysunku. Obraz związkowca różni się korzystnie od obrazu młodego plastyka amatora (taka jest właściwa nazwa tej grupy) pod wieloma zasadniczymi względami. Sprawa oryginalności gra tu niemałą rolę. Na wystawie „młodych” spotykało się tzw. „orzynały”, to znaczy obrazy źle skopiowane lub słabe kompilacje z oryginałów (nazwisk ze względów naturalnych nie wymienię się). „Entuzjazm”, animusz i różne swawolne zachcianki, malowanie „byle jak” — obniżyły poziom wystawy „młodych”, co nie przeszkadza, że na ich wystawie było kilka prac na poziomie wystawy „związkowców” i nawet lepszych. A więc obie wystawy dzieli jakość prac. Ale łączą wspólny cel — sztuka. Ambicje młodych są słuszne, uzasadnione, z tym zastrzeżeniem, że należy rywalizować w jakości obrazów i wystaw, a nie w dziedzinie plotek, nie mających nic wspólnego ze sztuką. Sprawa „młodych” i „starych” jest tworem sztucznym, złośliwym, niepotrzebnie skłócającym i tak już ubogim w talenty środowisko lubelskie. Komu na tym zależy?

Michalczuk: Zapewne tym, co opowiadają plotki... Niestety, argumentowanie ogólnikami nie stwarza możliwości wyjaśnienia zarzutów, jakimś atakował pan „młodych”. Brak śmiałości w wytykaniu błędów, o których istnieniu tylko się wspomina, nie może stworzyć zdrowej atmosfery w kręgu omawianych spraw.

Bechcyc-Rudnicka: No cóż, proszę panów? Choć temat oczywiście nie jest wyczerpany, ani, zdaje się, werwa dyskusyjna, trzeba chyba na razie postawić kropkę. Mieliliśmy dyskusować o wystawie. W jakim stopniu byłoby to „o” trafne w tytule, niech sądzi czytelnik. Myślę, że na wszelki wypadek bezpieczniej będzie zatytułować naszą gawędę: „Rozmowa na wystawie”.



Lucjan Pakulski — „Sumienie” — olej



# CHRZANOWSKI

## — poeta staromodny?

JÓZEF WIESŁAW ZIĘBA

Nareszcie Tadeusz Chrzanowski doczekał się własnego tomu wierszy \*).

Jeśli nie będziemy brali pod uwagę arkusza poetyckiego wydanego w PAX-ie w 1951 r. (we wspólnej teczce z dziesięcioma innymi poetami i wierszy zawartych w almanachu „Każdej chwili wybierać muszę“, to „Powitanie lata“ można by uważać za debiut książkowy tego poety. Debiut ten nie przypomina naszym pierwszą książkę młodego pisarza, ba nawet trudno by tu było dopatrzeć się cech charakterystycznych dla wypuszczanych przeciętnie co dwa lata tomików dojrzałych poetów. Tomik ten jest za bardzo równy, za bardzo kompozycyjnie przemyślany, za bardzo dojrzały. Wiersze w nim zawarte — to dziesięciolećni dorobek poetycki Chrzanowskiego. Tomik liczy 58 utworów. Na każdy rok przypada więc po kilka wierszy. Cechy te wskazują, że mamy do czynienia raczej z wyborem niż ze zwykłym tomikiem. Dokonując selekcji swoich wierszy autor kierował się, widać to na każdym kroku, bardzo ostrymi kryteriami. Z tych względów na podstawie „Powitania lata“ nie można mówić o drodze rozwoju poety, lecz tylko o Chrzanowskim jako o odrębnym zjawisku literackim. Ze Chrzanowski jest takim zjawiskiem — sygnalizowali już krytycy przy analizowaniu wspomnianych uprzednio pozycji. „Powitanie lata“ daje jednak pełniejszy, całkowity obraz dotychczasowego oblicza poety. Obraz ten jest zupełnie wykończony, jednolity, własny. Poeta w ostatnim z zamieszczonych w tomiku wierszy „Poeci staromodni“ tak mówi:

*Państwo pozwolą, że się przedstawię:  
Tadeusz Chrzanowski  
— poeta staromodny*

Znajdziemy jeszcze „Pochwałę strofy“, wiersz zaczynający się od słów: „Pochwalam strofę, którą pan Jan mi przekazał“. I jeszcze jeden wiersz („Dwie mowy“), w którym przeczytamy:

*Ogarnia cię mowa potoczna,  
ale ty nie umiesz wyjść  
za próg strychu pełnego westchnień i pajęczyn...*

Mimo tych zapewnień nie znajdujemy jednak w Chrzanowskim nic z epigoństwa. W każdym wierszu uderza nas świeżość spojrzenia podkreślona raz prostotą, prawie ascezą środków artystycznych, a raz zaskakującą, chociaż nigdy nie krzyżującą metaforą. Oto bardzo przypadkowo wybrane przykłady:

*Gdyby mowę można było wybrać,  
Może wziąłbym sobie bardziej dźwięczną,  
podatniejszą dla pieśni i pieszczot,  
przychylniejszą dla złota i srebra.*  
(„O mowie“)

albo:

*Wiatr podaje oczom rozprószone cegły  
kotłyszki wysoko pustymi ścianami,  
schodzi drobny deszcz — zwolniony dynamit —  
będą pod nim mury pomalutku wędły.*

Przykładów takich można przytoczyć bardzo dużo. Napotykamy je niemal w każdym wierszu.

Z drugiej strony w wierszach Chrzanowskiego odczuwa się pewną „niewspółczesność“, inność i to zarówno w środkach wyrazu, jak i koncepcji poetyckiego świata. Padało już nieraz określenie, że wiersze te są za bardzo klasyczne, a ja bym powiedział, że bardzo spokojne. Nie znajdziemy w nich śladu tak modnego współcześnie artystycznego eksperymentu. Spokój i umiar — to chyba dwie najbardziej charakterystyczne cechy „Powitania lata“.

Chrzanowski nie wypuszcza rzeczy niedoszlifowanych. Wszystkie wiersze są świetnie wykończone, nie znajdziemy w nich szorstkości i niespodziewanych załamania, którymi tak chętnie, świadomie lub nieświadomie, operuje współczesna młoda poezja. To niewątpliwie zbliża autora do klasyków. Jest jeszcze głębsza przyczyna takiego ukształtowania artystycznych środków. A mianowicie wiąże się ona ze swoiście poetyckim widzeniem świata. Świat Chrzanowskiego jest uporządkowany. Nie ma w nim chaosu ani nawet ostrych konfliktów.

*Piękna poro żniwna, poro męska,  
Jakże mądrze jednasz przeciwieństwa*  
(„Powitanie lata“)

Stosunek poety do tego świata opiera się o zrozumienie łączności twórcy z naturą. Poeta w swoich wierszach daje wyraz temu uczuciu łączności:

*Ale nam powierzono coś więcej,  
Ale nam powierzono właśnie to,  
z czego się składa nasz związek z naturą.*  
(„Traktat o pisaniu“)

Oczywiście poczucie łączności nie równa się wcale zatraceniu perspektywy spojrzenia na otaczającą go rzeczywistość. Chrzanowski patrzy na świat z pewnego dystansu. Lekki uśmiech niezłośliwej zresztą ironii (najbardziej widoczny w cyklu „Z dyaryusza“) pozwala mu dystans ten utrzymać.

Przy okazji trzeba dodać, że wiersze o miastach i miasteczkach zamieszczone w tym cyklu robiły w prasie większe wrażenie. Zestawione obok siebie z ciągle tym samym sposobem reporterskiej narracji nieco nużą.

\* Tadeusz Chrzanowski — Powitanie lata W. L. Kraków, 1957 r.

WACŁAW MROZOWSKI

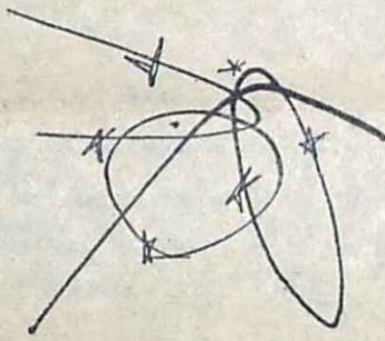
## Liryki mazurskie

I

Siedzę w hotelu sam jak zawsze  
przy winie,  
w mieście ogrodów i słowików —  
w Olsztynie.  
W szumiących lasach dzień się chowa  
powoli  
jak zmarszczka w świetle nikłej lampy  
na stole.  
Jest coraz ciemniej, mgły wychodzą  
na miasto  
i spacerują zakochane,  
nim zasną.  
Zgrzyt rżniętych desek dolatuje  
z tartaku,  
i jakby wtór — piosenka nocnych  
rybaków.  
Gwiazdy spadają na dna jezior,  
dziewczyno,  
i tylko księżyc pustelnicy  
nad Lyną.

II

W szuwarach śpiących kwilenie mew,  
na łodzi piosenka młodych,  
Z jeziora w okno sypie zmierzch,  
spóźniona czapla brodzi.  
Noc szumi muszlą, wierzby szumią  
i szumi wiatr,  
kleją się oczy sennych drwali  
na progach chat.  
Milknie młyn, wieś się do snu kładzie,  
uspia tartak,  
w altance skrzypce w winogradzie  
ktoś gra Mozarta.



## Spadek

(Dokończenie ze str. 5)

Mąż zaczął mówić, jakby głośno myśląc i nie zwracając się bezpośrednio do żony:

— Tak, milion... nie, to niemożliwe... reputację naszą diabli by wzięli... trudno... powinien był zapisać połowę mnie, a wszystko byłoby w porządku.

Usiadł, założył nogę na nogę i zaczął gładzić się po faworytach, jak to czynił w chwilach głębokiej zadumy.

Pani Serbois otworzyła koszyk do robót; wyjęła zeń robotkę i powiedziała, zabierając się do dzieła:

— Mnie na tym nie zależy. Ty się musisz zastanowić.

Długo nie odpowiadał, aż nareszcie rzekł z wahaniem:

— Widzisz, może byłoby wyjście, gdybyś mi ustąpiła połowę spadku drogą darowizny między żyjącymi. Nie mamy dzieci, więc możesz to zrobić. W ten sposób zatkałbyś im gęby.

Zona zapytała poważnie:

— Nie widzę, dlaczego to miałoby zatkać gęby?

— Mąż się nagle rozłożył:

— Głupia gęś. Powiemy, że odziedziczyliśmy po połowie; i to będzie prawda. Nie musimy wszystkim tłumaczyć, że testament był na ciebie.

W następnym cyklu: „Ze sztambucha“ najlepszy według mnie jest „Wiersz na córkę“. Chyba nikt jeszcze w naszej literaturze tak bezpośrednio jak Chrzanowski nie potrafił wyrazić uczuc ojca-wychowawcy kształtującego profil swojego dziecka.

Zamykając „Powitanie lata“ nie wierzymy Chrzanowskiemu, że jest „poetą staromodnym“. Zresztą on sam, chociaż tylekroć nas zapewnia, w to nie wierzy. Poeta z uśmiechem ironii wdziawa wprawdzie nieraz kostium zalatujący naftaliną, ale chyba tylko dla satysfakcji widzów, którzy kiwając głowami zachwycają się, jak w nim Chrzanowskiemu do twarzy.

III

Stacyjka cicha w głuszy lasów —  
Ruciane —  
poznasz po woni macierzanek  
nad ranem,  
poznasz po szumie Puszczy Piskiej,  
po sosnach,  
które wachlują błękit nieba  
jak wiosła,  
i po kołyskach wiatru, kłaskaniu  
słowika,  
które urzeka jak Szopena  
muzyka.  
Zagubisz miłość swą i czas  
w tym pięknie —  
Przed laty byłem tu i odtąd  
wciąż tęsknię.

KAZIMIERZ ANDRZEJ  
JAWORSKI

## Poranek

Do szyby puka wiosna akacją gałązką.  
Jak twej siostry nie wpuścić! Więc okno na rościęz.  
Wiatr się rzucił na krzesło, poruszył podwiązką,  
wzdął balonem sukienkę, potracił o brzeg  
stoliczka przy tapczanie, a potem najprościej  
dmuchnął w rękaw koszuli, w jedwabisty śnieg...

A wtedy ci chorągiew trzepotała we śnie...  
Ale już się rozwarły lekko oczu szparki,  
niechętnie, jakby mówiąc: dlaczego tak wcześniej?  
Jednak musiał zniewolić złoty słońca chlusk  
i ptaków zwariowanych w jaśminie pogwarki  
i „dzień dobry“ zaborczych mych od rana ust.

Oddalaś powitanie i twych oczu blask  
niebem jasnym się rozlał po pałapu belki.  
Palce ruchem niedbałym wplotłaś w włosów kask  
i potem już stanowczo kocyc odrzuciwszy  
wyskoczyłaś do okna, a rosy kropelki  
strącone z liści rękoma nadały żywszy.

Ranek witał nas rzeźki. Objąłem cię w pól  
i czułem pod jedwabiem jednych piersi stożek.  
Byłaś ciepła, kusząca. Od brzęczących pszczoł  
szła muzyka ku latu zmierzającej wiosny.  
Na niebie jak obłoczek księżycowy rożek  
nadziany na wierzchołek chwiejącej się sosny.

Jeszcze jeden dzień z tobą, nim zazdrosna Kłoto  
zobaczy, że w mym kłębku już zapasu brak.  
Ale któż by się martwił dzisiaj naprzód o to,  
kiedy serce tak bije, kiedy serce kocha.  
Chodź, najdroższa, już późno. Dawno śpiewa ptak.  
Pomogę ci się ubrać. Oto twa pończocha.

Przewierciła go spojrzeniem.

— Jak sobie chcesz, ja nie mam nic przeciwko temu.

Teraz mąż znów wstał, zaczął chodzić, zdawał się wahać, choć twarz mu jaśniała.

— Nie... może lepiej całkiem się rzec... to byłoby godniej... a jednak w ten sposób nie będą mieli nic do gadania... Najdrażliwsi będą musieli uznać... Tak, to wszystko załatwia.

Zatrzymał się przed żoną.

— Jeśli chcesz, koteczku, wrócę sam do notariusza, aby się poradzić i wszystko mu wyjaśnić. Powiem, że wolisz tak, aby nie melli jezoram. Z chwilą, gdy ja przyjmuję połowę spadku, jest rzeczą jasną, że nie mam żadnych podejrzeń, że wiem, jak rzeczy stoją, że sprawa jest uczciwa, czysta. To tak, jakbym ci powiedział: Przyjmij, kochanie, bo i ja przyjmuję. Inaczej to by naprawdę nie było przyzwolicie.

Pani Serbois powiedziała po prostu:

— Jak chcesz.

— Tak, gdy podzielimy spadek, wszystko będzie jasne. Dziedziczymy po przyjacielu, który nie chciał robić między nami różnicy, wyróżniać nikogo, nie chciał, aby wyglądało, że mówi: „Wolę ją albo jego po śmierci, jak woląłem za życia“. I możesz być pewna, że gdyby był o tym pomyślał, tak by właśnie zrobił. Nie zastanowił się, nie przewidział konsekwencji. Jak to doskonale określiłaś, zawsze tobie dawał prezent.

Zona przerwała mu z odcieniem zniecierpliwienia:  
— Jasne. Rozumiem. Nie ma tu co tłumaczyć. Idź zaraz do notariusza.

Mąż nagle zmieszany zaczerwienił się i wymamrotał:

— Masz rację. Idę.  
Wziął kapelusz i zbliżywszy się do niej wysunął wargi do pocałunku, szepcząc:

— Do widzenia kochanie.  
Nadstawiała mu czoło, na którym mąż wycisnął całusa; jego długie faworyty łaskotały jej policzki.

I pani Serbois, upuszczając robotkę, wybuchnęła płaczem.

Przełożyła Anna Jakubiszyn







## Z daleka o bliskim

W NASZEJ erze nylonowo-atomowej coraz częściej rozlegają się głosy o aktualności Jana Jakuba Rousseau. Miejmy nadzieję, że to idee wolnościowe Russa zaczynają odzyskiwać popularność, zaprzepaszczone przez czasy rządów totalnych. Na razie celebrowa się jego hasło „powrotu do natury”. W tym roku, jak informuje *Le Monde*, oddano hołdy pamięci wielkiego pisarza-filozofa nie tylko we Francji, ale i w Edynburgu, i w Londynie, a na jesieni analogiczne manifestacje odbędą się we Włoszech, w Niemczech, w Skandynawii. Paryska *Association Jean-Jacques-Rousseau* czyni już przygotowania do obchodu 250-lecia urodzin Jana Jakuba, które przypada na rok 1962. Bo rzecz wiadoma: lepiej przygotowywać jubileusz o pięć lat wcześniej niż o rok za późno.

GDY użytkownicy przestają robić zły użytek z zabytku, sztuka niekiedy odzyskuje swoje dobro. W Villefranche-sur-Mer, w XIV-wiecznej kaplicy św. Piotra, patrona rybaków — rybacy składowali od lat swoje sieci, kosze na langusty, kotwice i inny sprzęt zawodowy. Atoli od pewnego czasu zrobiło im się przyciasno w małym przybytku. Rybacy postanowili oddać go — patronowi rybaków. Szczęściem, gościł w tej okolicy Jan Cocteau, do którego też zwróciły się władze samorządowe z prośbą o nadanie kaplicy godniejszego wyglądu. Cocteau zabrał się do pracy z tym większym zapalem, skoro stwierdził po usunięciu rupieci, że ma do czynienia ze szlachetnym wnętrzem romańskim. Piękne freski Cocteau zdołał już sklepienia kapliczki. Oto wiadomość jak z bajki, zdolna chyba dodać otuchy konserwatorowi, który znajduje w „obiektach zabytkowych” — zboże, kartofle, owoce i znacznie gorsze rzeczy.

ZOKAZJI cyklu paryskich wystaw retrospektywnych zamieścił tygodnik *Les Lettres Françaises* artykuł o Alfredzie Sisleyu, gdzie znajdujemy m. in. wiadomość, że w rok po śmierci (1899) subtelnego impresjonisty, który borykał się całe życie z trudnościami materialnymi, sprzedając swoje płótna po 25-30 franków, jego „Powódź w Port-Marly” „poszła” na licytacji za 43.000 fr. Stara to i wieczna nowa historia. Warto przytoczyć wymowny fragment jednego z listów Sisleya do przyjaciela: „Czy by pan nie mógł znaleźć jakiegoś inteligentnego człowieka i przekonać go, że zrobi niezły interes lokując trochę pieniędzy w obrazach malarza już zdobywającego renowację?.. Jeśli pan zna takiego człowieka, proszę mu zaproponować w moim imieniu trzydzieści obrazów na półroczną comiesięczną honorarium w wysokości 500 fr. Gdyby, po upływie sześciu miesięcy, ten ktoś nie zechciał zachować dla siebie trzydziestu obrazów tego samego malarza, mógłby sprzedać dwa-dziesięć za sumę, jaką wyłożył, i miałby jeszcze dziesięć dla siebie za darmo”.

LITERATURNĄ GAZIETĄ informuje, że jeden z najbliższych tomów wydawnictwa „Litteratura” będzie zawierał nowoznaną korespondencję Gorkiego i słynnego przed pierwszą wojną pisarza, Leonida Andriejewa, autora znakomitych opowiadań (m. in. „Opowiadania o siedmiu wistkach”), sztuk „Sawa”, „Car-Głód”, „Zycie człowieka” i in., które trafiły w okresie stalinizmu na indeks. O ciekawym dowcipie listów Gorkiego do kolegi — literata niech świadczy następujący wyjątek: „Byłem onegdaj w Jalcie. Stoje sobie na przystani i nagle widzę — wóz naladowany szarym sukniem żołnierskim, z jakiego wyrabia się w jesieni chmury. Podchodzi do wozu stary żebrak w lachmanach, pomacał sukno i mówi do woźnicy: „Ależ licha tkaninka!” — „Nie ty będziesz ją nosił” — powiada woźnica”. — „Oj, marna tkaninka!” — powtórzył uparcie żebrak — „A tobie co do tego? — rzecze woźnica — nie dla ciebie robiona”. — Wiem — powiada stary uśmiechając się — wiem, że nie dla mnie, no to chociaż skłnę sobie tę tkaninkę...” Myślę, Leonidzie, że ten staruch musiał być za młodu krytykiem literackim, a może i dziś jeszcze para się artykułami krytycznymi w jakimś literackim przytułku dla ubogich duchem”.

m. b.-r.

RYSZARD A. DUNIN

## Fraszki

### PRAWO ANATOMII

Mimo iż demokracja rozkwita droga, jednak wciąż wiele ludzi złorzeczy, że po to, by można na własnych stanogach, trzeba mieć jeszcze cudze plecy.

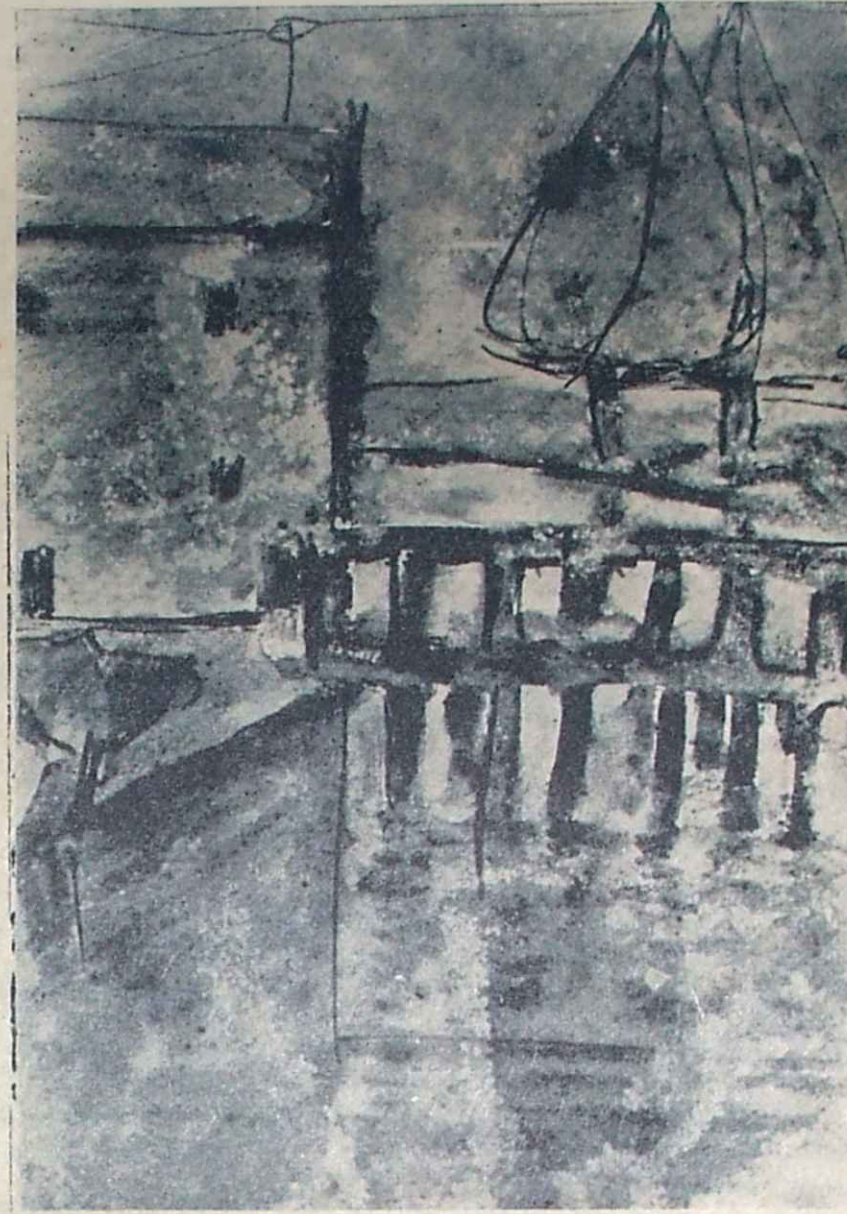
### NIEWIELE...

Niewiele znaczy dyscyplina pracy bez kołaczy.

Rysunki w numerze: Tytus Dzieduszycki

# Fabryka artystów

JANINA STASIAK



Stanisław Walczak — „Kazimierz” — Tempera

(Dokończenie ze str. 7)

łuta skrzywił pogardliwie wargi, od niechcenia musnął go palcami, w których trzymał zapalną, jak gdyby odrzucił go od siebie, ale milczał. Kasza westchnęła i położyła drugą stuzłotówkę, lecz i to nie wzruszyło dozorcę. Dopiero, gdy z wściekłym wyrazem twarzy dorzucił jeszcze sto złotych, Bałuta położył swój podpis na dokumencie.

— Właściwie po co to panu potrzebne? — mruknął. I tak wygrał pan sprawę w Miejskiej Komisji Lokalowej, a tak samo w Wojewódzkiej.

— Tak, ale Nitocki odwoła się do Ministerstwa Gospodarki Komunalnej i do Generalnej Prokuratury.

— Aha... — pokiwał głową dozorca. Po wyjściu Kaszy sam oddał pieniądze żonie. — Zagrzej no rosół, stara — powiedział, a w głosie jego zabrzmiała nuta szorstkiej przychylności. — Nie dadzą dranie spokojnie zjeść.

Ale tego wieczora nie było Bałucie pisane zjeść bez przeszkód rosółu. Nie upłynął bowiem nawet kwadrans, a drzwi znów otworzyły się.

— Panie Michale — mówił Nitocki, schodząc ostrożnie po schodkach. — Znów mam do pana prośbę, kochany panie Michale. — W rękę jego tkwił rozwinięty szary papierek pięćsetzłotowy. Położył go na stole i usiadł, westchnąwszy z głębi serca. Barwa jego policzków i czoła przybrała żółtawozielny odcień, doły na skroniach bardziej zapadły w głąb czaszki, tak samo jak oczy; usta wąską bezkrwistą kreską oddzielały pokrytą kropelkami potu górną wargę od długiego, kościstego podbródka.

— Panie Bałuta — zaczął zmęczonym głosem — przecież pan był wtedy, jak przyszli ci urzędnicy z milicją. Ach, szkoda, że ja wówczas wyszedłem z domu... Pamięta pan: oni siłą oderwali żonę od drzwi tego pokoju, unieśli wysoko i rzucili na podłogę... Żona zemdląca. Pamięta pan?... To wi-

działa nasza kuzynka, ale dobrze by było, żeby i pan potwierdził. Pamięta pan? To było na samym początku tej sprawy o nasz pokój...

Dozorca chrząknął niepewnie i nie wiadomo dlaczego wstał, zaskakująco niski, niższy od żony, czego zupełnie nie było widać gdy siedział.

— Chciałbym prosić, żeby pan mi podpisał oświadczenie, że pan to widział na własne oczy.

Dozorca znów chrząknął i usiadł z powrotem.

— Po co to panu? Będzie pan im robił sprawę?

— Jeszcze nie wiem; chyba nie. Ale chciałbym to dołączyć do skargi do ministerstwa. Może tam znajdzie sprawiedliwość; tutaj jeden drugiego kryje. Kasza zna ich wszystkich i dobrze się na to wykosztował.

— Nitocki machnął ręką z rezygnacją, a potem rozszalał się. — Widzi pan jaka to sprawiedliwość?... Nie pomogło nawet orzeczenie komisji lekarskiej... Poprosiłem też, żeby wezwali świadków, ale i w miejskiej i w wojewódzkiej komisji odrzucili tę prośbę... — Zakaszła kilka razy sucho i urywanie. — W ministerstwie pewno napyskują na mnie, że przed wojną miałem dom i restaurację. Każdy powie: kapitalista... — Pobębnił palcami po stole, poruszając wargami, jakby coś przeżuwał. Był zupełnie zgaszony. — Pewnie nic z tego nie będzie — westchnął. — Ale niech pan podpisze; dołączę do podania.

Bałuta podpisał.

— Nie wiem, jak tam to wyjdzie, ale faktycznie rzucili pana żonę na podłogę — powiedział — i ten przydział dla Kaszy jeszcze nie był prawomocny.

Od dłuższego już czasu istnieje w Lublinie Liceum Sztuk Plastycznych. W ciągu kilku ostatnich lat zmieniło swoją nazwę i programy nauczania. Było to echem zamętu panującego w świecie artystycznym w całym kraju i skutkiem sprzecznych nieraz ministerialnych „górných wytycznych”. Mimo różnych zmian, corocznie urządzano w Liceum wystawy podsumowujące dorobek wychowanków szkoły. Stały one na niezłym poziomie technicznym, niejednokrotnie wybijaly się prace uczniów o silniejszej indywidualności twórczej. Tegoroczna jednak wystawa, otwarta w czerwcu w gmachu Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych przy ul. Grodzkiej, swoim wyrównanym poziomem przewyższa wszystkie dotychczasowe. Jest to niewątpliwie wielki triumf pedagogów, którzy potrafili nauczyć rzeczywistości dobrego rzemiosła, pozostawiając równocześnie dużą swobodę twórczą i nie krepując indywidualności uczniów. Sukces jest tym pełniejszy, że ta metoda pracy nie została podyktowana programem, profesorowie szkoły lubelskiej eksperymentowali na własną odpowiedzialność.

Wyniki w malarstwie i rzeźbie (zasługa profesorów Zwolakiewicza i Baranowskiego) mówią same za siebie. Wystawa pokazuje szeroki wachlarz zainteresowań i skłonności młodych twórców, wybierających taki sposób wypowiedzenia się, jaki im najbardziej odpowiada. W zestawie prac pojedynczych nawet uczniów widać dużą różnorodność, co jest również zasługą pedagogów, nie pozwalających młodemu, chłonnemu materiałowi na skostnienie i bezdusznej manierze. Przykładem może tu być jeden z najliczniej reprezentowanych na wystawie malarzystów — Bogusław Balicki. Od dość realistycznych, śmiało zbudowanych kompozycji, przechodzi do obrazów tak sugestywnych jak „Węgrzy”, praca mająca silny ładunek emocjonalny i intelektualny. Dziecinne postacie żołnierskich (na ciemnym tle syntetycznie przedstawionego pejzażu miejskiego) w hełmach z wycinków gazet, mówiących o wypadkach na Węgrzech, pozostawiają niezapomniane wrażenie.

Walczak od mało indywidualnych lecz poprawnych w kolorze pejzaży dochodzi do bardzo ciekawych efektów fakturowych w obrazie „Kobieta siedząca”. Tradycyjny, renesansowy niemal, układ postaci harmonizuje tu z zupełnie nowoczesną formą.

Najlepszymi kolorystami na wystawie są Jaroszyńska („Licytacja”, „Krowy”, „Kompozycja”) oraz Filip (doskonale „Dzieci”), który poza malarstwem jest także reprezentowany w rzeźbie. Jego „Tancerka” zadziwia prostotą i wdziękiem.

Wykonane w gipsie kompozycje przestrzenne Błzba, Czernaka i Skorba świadczą o ich talentach rzeźbiarskich.

Przyjemne w formie są drewniane „Zwierzaki”, bardzo dekoracyjne, projektowane i wykonane przez uczniów III klasy. Pełną ekspresję rzeźbą jest także „Studium ręki” Pola.

Rysunek, grafika, plakat, liternetwo nie pozostają w tyle za malarstwem i rzeźbą. Z braku miejsca nie mogę, niestety, zająć się nimi szerzej. Z tego powodu wymieniam tylko kilka nazwisk, co przy wysokim i tak wyrównanym poziomie wystawy jest krzywdą dla pominiętych.

Dotychczasowe wyniki pracy pedagogów rokuja jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Będziemy z niecierpliwością czekali na następny przegląd prac.

## U dozorcę

— Właśnie, nawet nie wręczyli mi odpisu; uniemożliwili obronę — skrzywił się Nitocki. Wstał i spojrzał smutnymi oczami na dozorcę.

— Jak będzie potrzeba, to mogę świadczyć — powiedział tamten i delikatnie złożył pięćsetkę we czworo.

Gdy Nitocki wyszedł, Bałutowa popatrzyła z przerażeniem na męża.

— Bój się Boga, Michale! Ty sobie narobisz biedy. A jak oni naprawdę zaczną ciebie ciągnąć na świadka?... I temu podpisałeś, i tamtemu...

— No to co? Ja głupi, ciemny chłop. Co mi mogą zrobić? Niech przyjdzie Kasza z pieniędzmi, to mu mogę podpisać, że nie rzucali Nitockiej na podłogę. Co mi tam...

— Jak to? A sąd? Raz podpisujesz tak, drugi raz inaczej.

— Przecież ci tłumaczyłem, że ja ciemny, głupi chłop; ciemna masa, rozumiesz? Co ja tam mogę wiedzieć? dają, to podpisuję. No nie rozumiesz? Właśnie jak będzie raz tak, a raz inaczej, to akurat dobrze.

Z podziwem pokiwała głową. — Cwany to ty jesteś. Ja nie potrafiłabym tak.

— A no, — uśmiechnął się. — To daj te pieniądze — poprosiła nieśmiało.

Wyjął pięćset złotych i podał. Wzięła z tą samą nieśmiałością, otarła przedtem dłoń o fartuch.

— Jakiś lepszy się zrobiłeś — powiedziała łagodnie.

— A no — mruknął. Policzkami jego nabrzmiały tłumionym śmiechem. — Widział stara — odezwał się poważnie — żeby tych pieniędzy było zawsze tyle, ile potrzeba... Ej, żeby ich było tyle, ile potrzeba...

Stefan Wojski